George Orwell: Raffles i panna Blandish

Sądzę, że nikt nie zwrócił uwagi na pierwiastki sadyzmu i masochizmu w dziełach Shawa, a tym bardziej nie wysunął myśli, że może to mieć pewien związek z podziwem Shawa dla dyktatorów – pisał George Orwell w artykule, który przypominamy w „Teologii Politycznej Co Tydzień": „Orwell. Adwokat rzeczywistości".

Niemal w pół wieku po pojawieniu się w powieści angielskiej „amatora-włamywacza" Rafflesa, pozostanie on nadal jednym z jej najbardziej znanych bohaterów. Prawie każdy wie, że grał w krykieta w reprezentacji Anglii, że miał garsonierę w Albany, że okradał domy w Mayfair, w których bywał gościem. Właśnie dlatego on i jego wyczyny stanowią odpowiednie tło do rozpatrzenia bardziej nowoczesnej powieści kryminalnej jak: *Nie ma orchidei dla panny Blandish* (No orchids for Miss Blandish). Wszelki wybór tego rodzaju bywa z konieczności dowolny — mogłem równie dobrze wybrać Arsene'a Lupin — ale w każdym razie *Nie ma orchidei* i książki o Rafflesie [1]) mają jedną wspólną cechę: są do książki kryminalne, które rzucają więcej światła na złoczyńcę, niż na policjanta. Można je zestawić dla celów socjologicznych. *Nie ma orchidei* przedstawia uświetnioną zbrodnię w 1939, *Raffles* w wersji 1900 roku. Chodzi mi tutaj o olbrzymią różnicę w moralnej atmosferze obu książek i, co zapewne za tym idzie, o zmianę w postawie opinii w stosunku do tych spraw.

W obecnej chwili urok *Rafflesa* polega częściowo na atmosferze epoki, częściowo zaś na technicznej doskonałości tych opowiadań, Hornung byt pisarzem bardzo sumiennym i w swoim zakresie bardzo zdolnym. Jego książki zaimponują każdemu, kto dba o dobrą robotę literacką. Tym niemniej istotny pierwiastek dramatyczny w *Raffles'ie*, to co sprawia, że aż po dziś dzień pozostając on postacią przysłowiową, (niedawno jeszcze jeden z sędziów orzekł w sprawie o rabunek, że oskarżony jest wcieleniem *Raffles'a*), to fakt, że chodzi o gentlemana. Raffles jest nam przedstawiony — i autor kładzie to czytelnikowi do głowy w niezliczonych fragmentach dialogu i przypadkowych uwagach

– nie jako uczciwy człowiek, który zeszedł na bezdroża, ale jako wykolejony wychowanek Public School, Jeśli odczuwa on jakiekolwiek wyrzuty sumienia, są to wyrzuty o charakterze niemal towarzyskim, zniesławił „starą szkołę”, utracił prawo wstępu do „przyzwoitego towarzystwa”, wyzbył się swojej pozycji „amatora” i stał się zwykłym szubrawcem. Nie wydaje się, żeby Raffles czy Bunny mieli silną świadomość tego, iż kradzież jest zła sama w sobie, chociaż Raffles stara się raz usprawiedliwić przypadkową uwagą, iż „rozdział dóbr i tak jest całkowicie źle przeprowadzony”. Uważają się oni nie za grzeszników, ale za renegatów czy wyrzutków, po prostu za ludzi, którzy wyszli ze swojej sfery. Zaś nasze pojęcia moralne są wciąż tak pokrewne pojęciom Raffles’a, że istotnie widzimy Coś paradoksalnego w jego sytuacji. Klubowiec z West-Endu — włamywaczem! Czyż to samo nie jest już sensacją? A gdyby blacharz albo właściciel sklepu spożywczego okazał się włamywaczem? Czy byłoby w tym coś samoistnie dramatycznego? Nie — chociaż pozostałaby intryga „podwójnego życia”, zbrodni, pokrytej pozorami czcigodności. Nawet Charles Peace, w swoim księżowskim kołnierzyku wydaje nam się mniejszym hipokrytą, niż Raffles w swym brązowym spencerku.

> *Z punktu widzenia czytelnika sensacyjnych opowieści, opis londyńskiego Blitzu, czy też walki europejskich ruchów podziemnych wydałby się mdły jak lukrecja*

Raffles ma być oczywiście wytrawnym sportowcem, i to że jego ulubioną grą jest krykiet, jest niewątpliwie rysem dobranym bardzo trafnie. Pozwala to autorowi przeprowadzać niekończące się analogie pomiędzy pewnymi sztuczkami Rafflesa w tej grze i jego sprytem jako włamywacza, a także służy do wyraźnego określenia charakteru jego przekroczeń. Krykiet nie jest w gruncie rzeczy bardzo popularną grą w Anglii — o wiele popularniejszą jest np. piłka nożna — ale jest pewną wybitnie zaznaczoną cechą charakteru Anglików, ich skłonności do wyższej oceny „formy” czy „stylu” aniżeli powodzenia. W tej grze, osiągnięcie sportowe mniejszej miary może w oczach prawdziwego miłośnika krykietu uchodzić za „lepsze” (to znaczy szlachetniejsze) niż druzgocący sukces na punkty. W krykiecie, jak w bardzo niewielu innych grach, amator może przewyższyć gracza zawodowego. Jest to gra obfitująca w

stracone nadzieje i nagłe, dramatyczne zmiany szansy, zaś jej reguły są tak luźno określone, że ich interpretacja pozostaje po części kwestią etyki. Dlatego w języku angielskim mówi się o uczynkach moralnie nieładnych, które jednak trudno określić jako wręcz nieuczciwe, że to nie *cricket*. Gra ta zajmuje masę czasu i jest raczej kosztowna, to też w krykieta grają przeważnie członkowie klasy uprzywilejowanej, lecz cały naród przejął się szeregiem pojęć ściśle związanych z krykietem, jak „dobra forma"; „fair play" itd. Popularność krykieta spadła jednocześnie z upadkiem angielskiej tradycji, która wymagałaby oszczędzania powalonego przeciwnika. Nie jest to gra dwudziestego stulecia i nie lubi jej większość nowocześnie usposobionych ludzi. Hitlerowcy, np., z dużym nakładem trudu zabrali się do wykorzeniania krykieta, który zaczął się rozpowszechniać w Niemczech przed i po pierwszej wojnie światowej. Hornung, czyniąc z Rafflesa zarówno gracza w krykieta jak i włamywacza, nie tylko dostarczał mu wiarygodnej maski, zaznaczał również najostrzejszy moralny kontrast, jaki mógł sobie wyobrazić.

Raffles, w niemniejszym stopniu juk *Wielkie oczekiwania* (*Great Expectations*) Dickensa lub *Czerwone i czarne* Stendhala jest historią, osnutą na tle snobizmu, i wiele zyskuje na pewnej chwiejności pozycji społecznej samego Rafflesa. Bardziej prymitywny pisarz byłby z gentlemana-włamywacza uczynił członku rodziny lordowskiej, albo przynajmniej baroneta. Raffles jednak pochodzi z wyższych sfer klasy średniej i arystokracja przyjmuje go jedynie z powodu jego osobistego uroku. „Bywaliśmy, ale nie należeliśmy do towarzystwa", oświadczył on Bunny'emu pod koniec książki, oraz: „interesowano się mną z powodu krykieta". Zarówno on jak i Bunny uznają bez zastrzeżeń walory „towarzystwa" i obaj chętnie pozostaliby w nim na zawsze, gdyby udało im się zdobyć tak wielki łup, by móc na nim poprzestać. Ruina, która im wciąż zagraża, jest tym straszniejsza, że „należą" oni jedynie połowicznie do towarzystwa. Książę, który siedział w więzieniu, pozostanie nadal księciem, podczas gdy zwykły „światowiec", raz zniesławiony, przestaje nim być na zawsze. Ostatnie rozdziały książki, kiedy Raffles został zdemaskowany i żyje pod przybranym nazwiskiem, są przesiąknięte atmosferą zmierzchu bogów, co nastrojem przypomina wiersz Kiplinga *Gentlemeni w szeregach*:

> *Szeregowiec dziś zwyczajny,*
> *Co miał kiedyś własną stajnię* itd.

Raffles należy teraz nieodwołalnie do „kohorty straceńców”. Może on nadal dokonywać udanych włamań, ale nie ma powrotu do raju, którym jest Piccadilly i klub M.C.C. Zgodnie z kodeksem Public Schools pozostaje jeden sposób rehabilitacji: śmierć na polu bitwy. Raffles zginie walcząc przeciwko Boerom (wytrawny czytelnik przewidziałby to od początku) i w oczach zarówno Bunny’ego, jak i Stwórcy, fakt ten przekreśla jego zbrodnie.

Raffles i Bunny nie mają oczywiście żadnych wierzeń religijnych, ani prawdziwego kodeksu etycznego, po prostu posiadają pewne prawidła zachowania, które stosują na wpół świadomie. Ale na tym właśnie polega głęboka moralna różnica pomiędzy *Rafflesem* i *Nie ma orchidei*. Raffles i Bunny ostatecznie są gentlemanami i nie zgwałcą tych niewielu zasad, które szanują. Pewnych rzeczy tu się „nie robi” i nawet myśl, że można zrobić inaczej, niemal że nie powstaje. Raffles np. nie nadużyje gościnności. Może dokonać kradzieży w domu, w którym jest gościem, ale ofiarą padnie inny gość, nigdy gospodarz. Nie popełni morderstwa [2], unika gwałtu w miarę możności, woli kraść nie będąc uzbrojonym. Uważa przyjaźń za rzecz świętą, mimo że niemoralny jest rycerski w stosunku do kobiet Będzie działał w sposób więcej ryzykowny, aby postąpić bardziej „sportowo”, niekiedy z czysto estetycznych pobudek i nade wszystko posiada niezwykle silne uczucie patriotyczne. Uroczyście obchodzi diamentowy jubileusz królowej Wiktorii („przez sześćdziesiąt lat Bunny, byliśmy pod rządami najlepszego monarchy jakiego widział świat”), posyłając jej pocztą starożytną złotą czarę, którą ukradł w British Museum. Kradnie, po części z pobudek politycznych, perłę, którą cesarz niemiecki posyła jednemu z nieprzyjaciół W. Brytanii, a gdy w wojnie z Boerami zaczyna się Anglikom niepowodzić — jedyną jego myślą jest przedostać się na front do pierwszej linii. Na froncie demaskuje szpiega kosztem wyznania swej tożsamości i ginie chwalebnie od boerskiej kuli. W tej kombinacji zbrodni i patriotyzmu podobny jest do nieledwie współczesnego mu Arsene’a Lupina, który również wyprowadza w pole niemieckiego cesarza i oczyszcza swą mocno zaszarganą przeszłość, zapisując się do Legii Cudzoziemskiej.

Należy zauważyć, że w nowoczesnej skali przestępstwa Rafflesa wydają się bardzo drobne. Dla niego biżuteria wartości 400 funtów jest doskonałym łupem, Mimo że opowiadania te trafiają do przekonania realizmem szczegółów, zawierają bardzo niewiele elementu sensacyjnego — mało trupów, prawie wcale krwi, żadnych zbrodni seksualnych, żadnego sadyzmu, ant śladu perwersji. Wydaje się, że powieść kryminalna, zwłaszcza ta, która ma wyższe ambicje, nabrała wiele krwiożerczości w ciągu ostatnich dwudziestu lat. W niektórych wczesnych romansach detektywistycznych nic ma nawet morderstwa. Nie wszystkie powieści, w których występuje chociażby Sherlock Holmes, opierają się na morderstwie, a nieraz nawet brak w nich przestępstwa w znaczeniu prawnym. To samo z powieściami Johna Thorndyke'a, podczas gdy w opowiadaniach Maxa Carradosa w ogóle prawie mordów nie ma. Od 1918 jednak powieść detektywistyczna, w której nie ma morderstwa, stała się rzadkością i nagminnie wykorzystuje się w tych powieściach najbardziej obrzydliwe szczegóły sekcji zwłok i ekshumacji. Niektóre z opowiadań, których bohaterem jest Peter Wimsey, wykazują chorobliwe zainteresowanie trupami. Cykl opowiadań Bafflesa, napisany z punktu widzeniu przestępcy, jest o wiele mniej antyspołeczny niż wiele nowoczesnych powieści, napisanych z punktu widzenia detektywa. Cykl ten pozastawia wrażenie pewnej chłopięcości. Należy on do epoki, w której ludzie mieli pewne zasady, mimo że traf chciał, że były to zasady głupie. Hasłem tych ludzi było „tego się nie robi". Granica którą przeprowadzali pomiędzy złem a dobrem jest równie bezsensowna jak polinezyjskie tabu, ale przynajmniej, podobnie jak przy tabu, posiada tę zaletę, że przestrzegają ją wszyscy.

Tyle o Rafflesie. A teraz nurka w gnojówkę. Powieść Jamesa Handley Chase'a *Nie ma orchidei dla panny Blandish* została wydana w r. 1939, ale doczekała się szczytowej popularności w r. 1940, w czasie bitwy o Wielką Brytanię i w okresie Blitzu. Oto w zarysie osnowa tej powieści:

Miss Blandish, córkę milionera, porywają gangsterzy, których bezpośrednio potem wyłapuje i wybija do nogi, większa i lepiej zorganizowana banda. Trzyma ona Miss Blandish w zastawie, żądając od jej ojca okupu miliona dolarów. Bandyci chcą ją zabić natychmiast po otrzymaniu daniny. Ale przy życiu utrzymuje ją przypadkowy zbieg

okoliczności. Jednym z członków bandy jest młody człowiek imieniem Slim, który jedyną przyjemność w życiu czerpie z wbijania noży w cudze brzuchy. Będąc dzieckiem „kształcił się” krając żywe zwierzęta zardzewiałymi nożyczkami. Slim jest impotentem, ale ma pewną słabość do panny Blandish. Matka Slima, która jest prawdziwym mózgiem bandy, widzi w tym jedyną szansę usunięcia jego impotencji i postanawia więzić Miss Blandish tak długo, dopóki Slimowi nie uda się jej zgwałcić. Po wielu wysiłkach i perswazji — połączonych z biciem panny Blandish gumową rurą — dochodzi wreszcie do zgwałcenia. Tymczasem ojciec panny Blandish wynajął prywatnego detektywa, któremu przy pomocy łapówek i tortur oraz przy współdziałaniu policji, udaje się otoczyć i wystrzelać całą bandę. Slim ucieka z panną Blandish i zostaje zabity, zgwałciwszy ją przedtem po raz ostatni, zaś detektyw zamierza powrócić pannę Blandish jej rodzinie. Ona jednak tak zasmakowała przez ten czas w pieszczotach Slima[3], że czuje się niezdolna do życia bez niego i wyskakuje z okna drapacza chmur.

Aby pojąć pełne znaczenie tej książki należy rozpatrzeć uważnie pewne, zawarte w niej elementy. Przede wszystkim jej fabuła niezmiernie przypomina powieść Williama Faulknera *Sanktuarium* (Sanctuary). Po drugie nie jest to, jak można by przypuszczać, utwór grafomana półinteligenta, ale rzecz literacko świetna, niemal bez jednego zbytecznego słowa i bez fałszywej noty, po trzecie cała książka, zarówno opowieść jak i dialogi, została napisana w amerykańskiej angielszczyźnie; widocznie autor, który o ile wiem, nigdy nie był w Ameryce, potrafił duchowo przenieść się do podziemnego świata amerykańskiego. Wreszcie, jak oświadczają wydawcy, sprzedano nic mniej niż pół miliona egzemplarzy tej książki.

Podałem już streszczenie fabuły, lecz sama powieść jest o wiele wstrętniejsza i brutalniejsza niż można by przypuszczać. Książka zawiera osiem opisów morderstw ze wszystkimi szczegółami, niezliczoną ilość przypadkowych zabójstw i poranień, ekshumację (specjalny nacisk położono na smród), flagelację panny Blandish, przypiekanie drugiej kobiety papierosami, scenę powolnego rozbierania się do naga, obraz tortur trzeciego stopnia o niesłychanym okrucieństwie i wiele innych szczegółów tego samego rodzaju. Autor liczy na wielką erudycję seksualną u czytelników (np. scena w której jeden z gangsterów, zapewne masochista, doznaje spazmu rozkoszy w momencie kiedy go ktoś przebija nożem) i przyjmuje całkowite zepsucie

za pewnik, zaś bezwzględny egoizm za normę ludzkiego zachowania. Detektyw jest prawne równie skończonym draniem jak gangsterzy i działa niemal w imię takich samych pobudek. Podobnie jak tamci, ugania się on za „pięciuset papierkami". Fabuła książki wymaga, by p. Blandish dążył do odzyskania swej córki, ale poza tym takie cechy jak przywiązanie, przyjaźń, życzliwość, czy nawet zwykła grzeczność nie są w ogóle brane pod uwagę. Nic wchodzi też właściwie w grę normalne życie płciowe. Ostatecznie jedynym motywem, działającym poprzez całą powieść — to żądza władzy.

Zważmy, że nie jest to książka pornograficzna w zwykłym znaczeniu tego słowa. W odróżnieniu od innych książek, opisujących seksualny sadyzm, nacisk położono tu na okrucieństwo, nie zaś na przyjemność, Slim, gwałciciel panny Blandish, „ma zaślinione, obwisłe usta" to jest obrzydliwe, celowo obrzydliwe. Sceny opisujące okrucieństwo wobec kobiet są stosunkowo pobieżnie traktowane. Momenty szczytowe książki, to znęcanie się mężczyzn nad innymi mężczyznami: wybija się tu na pierwszy plan torturowanie gangstera Eddie Schultza, którego inni gangsterzy przywiązują do krzesła i bija gumowymi pałkami, a gdy udaje mu się wyzwolić z więzów, łamią mu ręce. W innej książce Chase'a, *Nie będziesz już teraz tego potrzebował* (He won't need it now) bohater, który ma być człowiekiem sympatycznym, a nawet szlachetnym, depcze czyjąś twarz i po wgnieceniu ust swojej ofiary, miażdży je wiercąc kilkakrotnie obcasem, Nawet o ile nie zdarzają się tego rodzaju wypadki, duchowa atmosfera tych książek pozostaje zawsze ta sama. Cały ich temat — to walka o władzę i zwycięstwo silniejszego nad słabszym. Wielcy gangsterzy likwidują mniejszych równie bezlitośnie, jak szczupak w stawie pożera inne ryby; policja załatwia się ze zbrodniarzami równie okrutnie jak rybak ze szczupakiem. Jeżeli, ostatecznie, człowiek staje po stronie policji przeciwko gangsterom to jedynie dlatego, że policja jest lepiej zorganizowana i potężniejsza od gangsterów, dlatego że w gruncie rzeczy obrona prawa jest ponętniejszą „robotą", niż zbrodnia. Siła jest prawem: *Vae victis*.

Jak już wspomniałem, *Nie ma orchidei* przeżywała okres szczytowy w r. 1940, mimo że z powodzeniem wystawiano ją na scenie jeszcze nieco później. Ludzie upatrywali w tej sztuce czynnika, który by odwracał ich uwagę od bombardowania, na początku wojny ukazał się w tygodnika *New Yorker* rysunek człowieczka, stojącego przed gazetami o sensacyjnych nagłówkach: „Wielka bitwa czołgów w północnej Francji";

> *Tyrana podziwia się najbardziej, jeśli jest on równocześnie krwawym rzezimieszkiem, zaś „cel uświęca środki” przeradza się wielokrotnie w „środki same siebie uświęcają, pod warunkiem, że są wystarczająco ohydne”*

„Wielkie powietrzne walki nad Kanałem La Manche”; „Wielka bitwa morska na Atlantyku” itd., itd. Człowieczek mówił: „Proszę o sensacyjne przygody”. Człowiek ten był przedstawicielem milionów otumanionych ludzi, dla których świat gangsterów i ringi bokserskiego jest bardziej „życiowy”, bardziej „morowy” aniżeli wojny, rewolucje, trzęsienia ziemi, głody i zarazy… Z punktu widzenia czytelnika sensacyjnych opowieści, opis londyńskiego Blitzu, czy też walki europejskich ruchów podziemnych wydałby się mdły jak lukrecja. Skądinąd jakąś drobną strzelaniną w Chicago, z jakimś półtuzinem trupów, uważałby za wyczyn niesłychanie dziarski. Ta postawa umysłowa jest szeroko rozpowszechniona, Żołnierz, tkwiący w błotnistym okopie, gdy mu nad głową świszczą kule z karabinu maszynowego, stara się przepędzić nudą czytając powieść o amerykańskich gangsterach. Co sprawia, że ta opowieść tak go podnieca? Nic innego jak właśnie fakt, że ludzie strzelają do siebie z karabinów maszynowych! Ani ten żołnierz, ani nikt inny nie widzi nic nadzwyczajnego w tym zbiegu okoliczności. Przyjmuje się jako pewnik, że imaginacyjna burda jest bardziej wstrząsająca od prawdziwej.

Tłumaczy się to tym, że w prawdziwym życiu bywa się zazwyczaj bierną ofiarą, podczas gdy w awanturniczej opowieści można myśleć o sobie jako o czołowej postaci, wokoło której kręci się cała akcja. Ale sprawa nie jest tak prosta: należy tu pamięta o ciekawym fakcie, że *Nie ma orchidei* to powieść napisana w angielszczyźnie amerykańskiej może z pewną ilością technicznych usterek, lecz na ogół bardzo zręcznie.

W Ameryce istnieje olbrzymia literatura mniej więcej tego samego pokroju co *Nie ma orchidei*. Oprócz książek, jest ogromna ilość brukowych, sensacyjnych czasopism, przystosowanych do różnych gatunków wyobraźni, ale o podobnym klimacie duchowym. Kilka z tych

czasopism zajmuje się zwykłą pornografią, ale ogromna ilość obliczana jest na sadystów i masochistów. Pisma owe sprzedawane są w Anglii, w cenie 3 pensów za sztukę[4] i cieszyły się znaczną popularnością, lecz zapas ich wyczerpał się w czasie wojny, a nie pojawiła się w ich miejsce żadna zadawalająca namiastka, Ukazują się obecnie angielskie naśladownictwa tych brukowców, ale nie dorównują oryginałom. Jeśli chodzi o brutalność, angielskie filmy o bandytach pozostają daleko w tyle za amerykańskimi. A jednak kariera p. Chase jest dowodem, jak głęboko sięgają wpływy amerykańskie. Nie tylko on sam żyje w wyobraźni w podziemnym świecie Chicago, i dlatego może liczyć na setki tysięcy czytelników, znających dokładnie najbardziej nieoczekiwane wyrażenia gwary, którą posługuje się ten świat. Widocznie istnieje wielka ilość Anglików zamerykanizowanych nie tylko pod względem języka, lecz również i zapatrywań moralnych, gdyż *Nie ma orchidei* nie wywołało publicznego protestu. Książkę wycofano z obiegu z obiegu dopiero wtedy, gdy późniejszy utwór Chase'a *Miss Callaghan comes to grief* zwrócił na niego uwagę władz. Sądząc z przypadkowych rozmów, prowadzonych w owym czasie, zwykli czytelnicy byli mile podbechtani nieprzyzwoitościami, jaki zawiera *Nie ma orchidei*, ale nie widzieli niż zdrożnego w lej książce jako całości. Nawiasem mówiąc, wielu ludzi myślało, że jest to dzieło pisarza amerykańskiego, powtórnie wydane w Anglii.

Sprawą, przeciw której zwykły czytelnik powinien był zaprotestować i z pewnością byłby zaprotestował kilkadziesiąt lat temu, jest dwuznaczny stosunek do zbrodni. Z całej książki wypływa wniosek, że zbrodniarz jest godny potępienia jedynie dlatego, że przestępstwo się nie opłaca. Lepiej opłaca się być policjantem, ale nie ma moralnej różnicy, skoro policja używa na wskroś zbrodniczych metod. W książce takiej jak *Nie będziesz już tego potrzebował* rozróżnienie pomiędzy przestępstwem i działalnością antyprzestępczą prawie całkowicie zanika. Jest to nowym podejściem w angielskiej powieści kryminalnej, która dotychczas rozgraniczała dobro i zło bardzo wyraźnie i w której w ostatnim rozdziale na podstawie ogólnego porozumienia, zwyciężyła cnota. Książki angielskie, wychwalające zbrodnię (rozumie się zbrodnię nowoczesną, piraci i rozbójnicy to inna sprawa) należą do rzadkości. Jak już starałem się wykazać, nawet taka książka jak *Raffles* rządzi się nakazami potężnych „tabu" i rozumie się jasno od początku, że Raffles będzie musiał wcześniej czy później odpokutować za swoje przestępstwa. W Ameryce tak w życiu, jak i w powieści, skłonność do

tolerowania zbrodni, a nawet admirowania zbrodniarza tak długo jak mu się powodzi, zaznacza się o wiele wyraźniej. W gruncie rzeczy ta właśnie pustawa umożliwiła rozkwit zbrodni na tak wielką skalę. Książki, które napisano o Al Capone, niewiele różnią się od tych, które opiewają wyczyny Forda, Stalina, lorda Northclifa i reszty tej całej bandy „milionerów z byłych sprzedawców gazet". Cofając się o osiemdziesiąt lat znajdziemy, że Mark Twain niewiele się różnił w swoim stosunku do obrzydliwego bandyty Slade'a, który zamordował dwadzieścia osiem osób i w ogóle do straceńców Dzikiego Zachodzi. Powodziło im się, „doszli do czegoś" – dlatego ich podziwiał.

Książka typu *Nie ma orchidei* nie ucieka jak dawniejsza zwykła książka kryminalną z nudnej rzeczywistości w świat przygód. Tu poluje się głównie na okrucieństwo oraz seksualne zboczenie. *Nie ma orchidei* jest przesiąknięta żądzą władzy, co jest nieznanym czynnikiem w Rafflesie i powieściach o Sherlocku Holmesie. Skądinąd nie mam zamiaru dowodzić, że postawa Anglików wobec zbrodni jest o tyle szlachetniejsza od postawy Amerykanów. Jest ona zbytnio związana z kultem siły, co ujawniło się coraz bardziej w przeciągu ostatnich lat dwudziestu. Pisarz godny uwagi z tego punktu widzenia to – Edgar Wallace, zwłaszcza w tak charakterystycznych jego książkach jak *Mówca* (The Orator) oraz opowiadaniach *Mr. J. G. Reeder*, Wallace był jednym z pierwszych autorów kryminalnych, który zerwał ze starą tradycją prywatnego detektywa — i główną rolę w swoich powieściach wyznaczył agentowi Scotland Yard'u. Sherlocku Holmes jest amatorem, który problemy swoje rozwiązuje bez pomocy policji, a nawet jak w wcześniejszych utworach, wbrew stawianym przez nią przeszkodom. Ponadto, podobnie do Lupin'a, jest on na wskroś intelektualistą, a nawet naukowcem. Z zaobserwowanych faktów wyciąga logiczne wnioski, i umysłowość jego jest nieustannie przeciwstawiana mechanicznej rutynie policjantów. Wallace uważał to za obrazę policji, nie zgadzał się z tą postawą i w kilku artykułach specjalnie się wysilał, by zdemaskować incognito Holmesa i nazwać go właściwym imieniem. Ideałem jego był detektyw-inspektor, który chwyta złoczyńców nie dzięki swym walorom intelektualnym, lecz dlatego, że jest członkiem wszechpotężnej organizacji. Stąd ciekawy fakt, iż w najbardziej typowych powieściach Wallace'a „poszlaki" i „dedukowanie" nie grają żadnej roli. Przestępca ponosi klęskę bądź skutkiem niewiarogodnego zbiegu okoliczności, bądź dlatego, że policja, w jakiś tajemniczy sposób z góry już wie wszystko o zbrodni. Z samego tonu powieści Wallace'a

wynika, że jego podziw dla policji jest po prostu kultem brutalności. Detektyw ze Scotland Yard'u jest uważany przez niego za wszechpotężną istotę, podczas gdy przestępca to wyrzutek społeczeństwa, którego wolno zwalczać wszelkimi środkami, tak jak skazanych na śmierć niewolników w rzymskich igrzyskach. Jego policjanci zachowują się o wiele brutalniej niż prawdziwi brytyjscy policjanci — biją ludzi, nic będąc sprowokowani, ostrzeliwują ich dla postrachu itd. —zaś niektóre z jego opowiadań wykazują przeraźliwy intelektualny sadyzm (np. Wallace chętnie tak kieruje sprawami, aby jego „czarny charakter" zawisł na szubienicy w sam dzień ślubu bohaterki). Jest to jednak sadyzm na modlę angielską: to znaczy bezwiedny, zewnętrznie nie posiadający cechy seksualności i utrzymany w granicach prawa. Publiczność brytyjska toleruje surowe prawo kryminalne, podniecają ją potwornie niesprawiedliwe rozprawy sądowe o morderstwach, lecz, bądź co bądź, jest to lepsze niż tolerowanie lub podziwianie zbrodni. Jeśli ktoś już musi czcić jakiegoś brutala, niechże to będzie raczej policjant niż gangster. Mimo wszystko Wallace wciąż jeszcze ulega pojęciu, że czegoś „się nie robi". W *Nie ma orchidei* można robić wszystko, co doprowadzi do władzy, nie istnieją w tej książce żadne bariery, wszelkie motywy zostają bezwstydnie obnażone. Chase jest w tym samym stopniu groźniejszym symptomem niż Wallace, w jakim dozwalająca na wszystkie chwyty wolna walka amerykańska, jest niebezpieczniejsza od boksu, lub faszyzm bardziej złowrogi od kapitalistycznej demokracji.

> *Ważne jest, by zdać sobie sprawę, że kult siły bywa połączony z zamiłowaniem do okrucieństwa i złośliwości, popełnianych jako sztuka dla sztuki*

Wzorując się na *Sanktuarium* Williama Faulknera, Chase tylko zapożyczył samą intrygę; atmosfera oby tych książek różni się wyraźnie. Chase w rzeczywistości rządzi się innymi przesłankami i ten szczególny wypadek naśladownictwa ma jedynie symboliczne znaczenie. Symboliczne, jeśli chodzi o ciągły proces upowszechniania pewnych pojęć, proces odbywający się szybciej w epoce druku. Chase'a nazywano „Faulknerem dla mas". Jednak określenie „Carlyle dla mas" byłoby właściwsze. Jest to popularny pisarz – wielu jest takich w Ameryce, ale

w Anglii wciąż należą oni do rzadkości – który dostosował się do prądu, znanego pod nazwą „realizmu”, czyli modnej doktryny, że siła jest prawem. Narastanie „realizmu” było zasadniczą cechą intelektualnej historii naszego wieku. Dlaczego tak się stało – to pytanie skomplikowane. Związek pomiędzy sadyzmem, masochizmem, kultem powodzenia, kultem władzy, nacjonalizmem i totalizmem – to olbrzymi temat, który bywał poruszany tylko bardzo powierzchownie i samo wzmiankowanie o nim uważane jest za pewnego rodzaju nietakt. Weźmy chociażby pierwszy nasuwający się przykład. Sądzę, że nikt nie zwrócił uwagi na pierwiastki sadyzmu i masochizmu w dziełach Shawa, a tym bardziej nie wysunął myśli, że może to mieć pewien związek z podziwem Shawa dla dyktatorów. Porównywano często faszyzm do sadyzmu, lecz prawie zawsze czynili to ludzie, którzy nie widzą nic zdrożnego w najbardziej niewolniczym bałwochwalstwie Stalina. W rzeczywistości liczni intelektualiści angielscy, którzy całują Stalina w dupę, nie różnią się od tych, mniej licznych, którzy hołdowali swego czasu Hitlerowi i Mussoliniemu, ani od ekspertów „wydajności” zalecających w latach 1920-tych „dynamizm”, „rozmach”, „indywidualność”, i „ucz się być drapieżnikiem” – ani tez od starszego pokolenia intelektualistów z Carlyle’m, Creaseyem i resztą, którzy nisko kłaniali się niemieckiemu militaryzmowi. Wszyscy oni wielbią i zwycięskie okrucieństwo. Ważne jest, by zdać sobie sprawę, że kult siły bywa połączony z zamiłowaniem do okrucieństwa i złośliwości, popełnianych jako sztuka dla sztuki. Tyrana podziwia się najbardziej, jeśli jest on równocześnie krwawym rzezimieszkiem, zaś „cel uświęca środki” w rzeczywistości przeradza się wielokrotnie w „środki same siebie uświęcają, pod warunkiem, że są wystarczająco ohydne”. To ujęcie zabarwia światopogląd wszystkich sympatyków totalizmu i tłumaczy chociażby istotną radość, z jaką wielu angielskich intelektualistów powitało pakt hitlerowsko-sowiecki. Był to krok tylko wątpliwie korzystny dla Związku Sowieckiego, lecz całkowicie niemoralny i przez to samo godny podziwu; tłumaczenia, liczne i sprzeczne, mogły zostać dorobione później.

***

Do niedawne charakterystyczne, awanturnicze opowiadania narodów anglo-saskich przedstawiały bohatera, toczącego nierówną walkę z przeciwnościami. Tak było od Robin Hood’a aż po marynarza Pop-eye. Może podstawowym mitem świata zachodniego jest opowiadanie o

wątłym chłopaczku, który zabija olbrzymów („Jack – the Giant-killer”). Aby jednak unowocześnić ten mit, trzeba mu kazać zabijać karłów, i istnieje już dziś pokaźna literatura, która uczy lub każe wnioskować, że należy trzymać stronę człowieka silnego przeciwko słabemu. Niemal wszystko co pisze się obecnie na temat polityki zagranicznej – to po prostu wariacje na ten temat, zaś od kilkudziesięciu lat popularne powiedzenia, w których brana jest w obronę strona słabsza, stają się przedmiotem drwin każdego człowieka o pretensjach intelektualnych. Względnie nowe jest uznanie niegdyś obowiązujących zasad według których: a) dobro jest dobrem i zło pozostaje złem, niezależnie od tego, która strona zwycięża, b) należy uszanować słabość. Pojęcia owe znikają również w popularnej literaturze. Kiedy po raz pierwszy, mając lat dwadzieścia, czytałem powieści D. H. Lawrence’a, zdziwiło mnie, że postacie jego nie dzielą się na „złe i dobre”, zaś Lawrence wydaje się sympatyzować z każdą z nich na równi. Wydało mi się to tak niezwykle, że czułem się całkowicie zdezorientowany. Dziś nikomu nie przyszłoby na myśl szukać w poważnej powieści bohaterów i czarnych charakterów, ale w powieściach popularnych nadal bożyszczami liberalnej inteligencji angielskiej były postacie stosunkowo sympatyczne. Pomiędzy Holmesem i Fennere’em z jednej strony, Abrahamem Lincolnem i Stalinem z drugiej, istnieje równie wielka przepaść.

Nie należy wyciągać zbyt wiele wniosków z powodzenia książek pana Chase’a. Może to tylko sporadyczny objaw, wywołany mieszaniną nudy i brutalności, którą wniosła wojna. Jednak, o ileby te książki miały na dobre zakorzenić się w Anglii, miast być na wpół zrozumiałym importem z Ameryki, istniałyby poważne powody do konsternacji. Wybierając Raffles’a jako tło dla *Nie ma orchidei*, umyślnie podałem książkę, która, na ówczesne stosunki, była moralnie dwuznaczna. Jak to już podkreśliłem, Raffles nie ma prawdziwego kodeksu moralnego ani religijnych wierzeń, z pewnością brak mu świadomości społecznej. Posiada tylko całą gamę odruchów – system nerwowy rzekomego gentlemana. Wystarczy wzbudzić któryś z jego odruchów (sprężyna do naciśnięcia zwie się „sport”, „kompan”, „niewiasta”, „król i ojczyzna” itp.) – aby móc sprawdzić z góry przewidzianą reakcję. W książkach Chase’a nie ma gentlemanów, ani nietykalnych dziedzin. Panuje całkowite rozprężenie, Freud i Machiavelli dotarli już na przedmieścia. Porównując sztubacką atmosferę pierwszej powieści z okrucieństwem i

zepsuciem drugiej, musimy uznać, że snobizm, podobnie jak hipokryzja, daje pewną rękojmię przyzwoitości, co, z punktu widzenia społecznego, nie zostało dostatecznie ocenione.

George Orwell

przełożyła Teresa Jeleńska

Powyższy tekst jest fragmentem artykułu George'a Orwella *Rafffles i panna Blandish*, który w polskim przekładzie ukazał się w na łamach „Kultury". Publikujemy za uprzejmą zgodą Instytutu Literackiego. Zob. G. Orwell, *Raffles i panna Blandish*, „Kultura" 1948, nr 9-10, s. 48-58.

kulturaparyska.com

***

[1] *Raffles. A Thief in the Night* i *Mr. Justice Raffles* — przez E. W. Hornung'a, Trzecia z tych powieści jest niewątpliwie nieudana, o jedynie pierwsza z nich oddaje prawdziwa Rafflesowską atmosferę. Hornung napisał szereg powieści kryminalnych, zazwyczaj wykazując tendencje do sympatyzowania z przestępcą. Ciesząca się powodzeniem książką, w rodzaju Raffles, jest Singaree.

[2] W rzeczywistości Raffles zabił człowieka i jest mniej lub więcej odpowiedzialny za śmierć dwóch innych, Lecz wszyscy trzej zamordowani byli cudzoziemcami o nader karygodnym zachowaniu się. Pewnego razu Raffles zamierza zamordować jakiegoś szantażystę. Jednakowoż, według konwencji przyjętych w powieściach kryminalnych, zabicie szantażysty „nie liczy się wcale".

[3] Można dorozumieć się innego znaczeniu końcowego epizodu. Być może, iż Miss Blandish ma być po prostu w ciąży. Ale interpretacja, która podałem wpierw, wydaje się bardziej dostosowana do brutalności

górującej w całej powieści.

[4] Pisma te są jakoby importowane do W. Brytanii jako balast okrętowy, co przyczynia się do ich niskiej ceny i zmiętoszonego wyglądu.